

Słowa Ewangelii według świętego Marka

Jezus nauczając mówił do zgromadzonych: „Strzeżcie się uczonych w Piśmie. Z upodobaniem chodzą oni w powłóczystych szatach, lubią pozdrowienia na rynku, pierwsze krzesła w synagogach i zaszczytne miejsca na ucztach. Objadają domy wdów i dla pozorów odprawiają długie modlitwy. Ci tym surowszy dostaną wyrok”. Potem usiadł naprzeciw skarbony i przypatrywał się, jak tłum wrzucał drobne pieniądze do skarbony. Wielu bogatych wrzucało wiele. Przyszła też jedna uboga wdowa i wrzuciła dwa pieniążki, czyli jeden grosz. Wtedy przywołał swoich uczniów i rzekł do nich: „Zaprawdę powiadam wam: Ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich, którzy kładli do skarbony. Wszyscy bowiem wrzucali z tego, co im zbywało; ona zaś ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała, całe swe utrzymanie”. Mk 12,38-44

UCZENI w PIŚMIE i WDOWA

Dwa wydarzenia opisane w tej części księgi (12,38-40; 12,41-44) tworzą dyptych, którego bohaterowie są sobie przeciwstawieni. Krytykowany przez Jezusa uczeni w Piśmie, ostentacyjnie obnoszący się ze swoją pobożnością, są przeciwieństwem cech, których oczekuje on od swoich uczniów. Jezus ostrzega przed zabieganiem o szacunek i prestiż, co było charakterystyczne dla uczonych w Piśmie (12,38b-39), i pozbawianiem wdów środków do życia, przy pozorach pobożności (12,40). Chociaż wymowa tekstu nie jest tak silna jak Mt 23, w przeszłości fragment służył do podsycania uczuć antyżydowskich; Jezus nie krytykuje w nim jednak wszystkich uczonych w Piśmie, lecz jedynie pewną grupę (por. 12,28-34), zaś w jeszcze mniejszym stopniu wszystkich Żydów.

38. Podobnie jak greccy odpowiednicy, niektórzy żydowscy nauczyciele nosili specjalny, wyróżniający ich ubiór. Wydaje się, że były to długie, białe lniane szaty, podobne do tych, które nosili kapłani i posługujący w Świątyni. Nauczycieli witano zwykle używając tytułów wyrażających szacunek. Targowiska, na których było dużo ludzi, dostarczały wielu okazji, by nauczyciele otrzymywali takie wyrazy uznania.

”Z upodobaniem chodzą w powłóczystych szatach”: Uczeni w Piśmie zajmowali się wyjaśnieniem starotestamentowego Prawa - byli ówczesną grupą żydowskich prawników. Uczni w Piśmie krytykowany przez Jezusa obnosili się ze swoją pobożnością, szczególnie w czasie uroczystości o charakterze religijnym. Ich szaty (stolai) miary podkreślać ich pozycję i godność, nie były modlitewnymi szalami jak w Mt 23,5.

39. Starożytne synagogi nie miały tego samego kształtu i wielkości, lecz w wielu późniejszych synagogach nauczyciele zajmowali eksponowane miejsca, by byli widoczni dla pozostałych członków zgromadzenia (podobnie jak duchowni w większości współczesnych kościołów). Ich status był ważny we wspólnocie wyczulonej na pozycję społeczną swoich członków. Synagogi

były najważniejszymi miejscami zgromadzeń lokalnej społeczności. Na ucztach goście siedzący najbliżej gospodarza zajmowali miejsca honorowe. Literatura starożytna pełna jest snobistycznych narzekań ludzi, którzy zajęcie gorszego miejsca uważali za obrażę.

40. Wdowy miały skromne źródła dochodów, były pozbawione prestiżu społecznego i szacunku we wspólnocie, dla której ważna była pozycja jej członków i wyrazy należnego szacunku. Żydowskie prawo otaczało je ochroną.

Jezusowi mogło chodzić o to, że nauczyciele ci wykorzystywali materialne środki wdów, domagając się przesadnie wysokiej dziesięciny (którą mogli ustalać na poziomie 20-30 procent, oprócz wysokich podatków gruntowych nakładanych przez rząd); mógł też mieć na myśli, że podejmując decyzje prawne, przestrzegają litery prawa zamiast okazywać miłosierdzie ubogim. Niezależnie od tego, jakie było ich konkretne przestępstwo, oskarżenie, że „objadają domy wdów”, ukazuje ich w gorszym świetle niż celników.

Mogli oni odmawiać długie modlitwy prywatne w synagogach. Jezus krytykuje tutaj nie samą długość modlitw, lecz powód, dla którego je wydłużają. Podobnie jak prorocy Starego Testamentu, Jezus uważał, że niesprawiedliwość społeczna i religijna hipokryzja są ze sobą nierozzerwalnie związane (Iz 1,17).

”Objadają domy wdów i dla pozoru odpowiadają długie modlitwy”. W starożytności prawnicy pełnili rolę opiekunów wdów, czuwali nad ich majątkiem. Często w celu uzyskania wynagrodzenia zajmowali część majątku. Prawnicy mający reputację pobożnych mogli czerpać z opieki znaczne korzyści materialne. Z powodu chciwości i obłudy owi opiekunowie mieli otrzymać surową karę na Sądzie Ostatecznym przed najwyższym z trybunałów.

Opowiadanie o ubogiej wdowie łączy się z poprzednim epizodem przez użycie słowa „wdowa”; jej postępowanie zaś jest przeciwieństwem poczynań uczonych w Piśmie. Całkowite poświęcenie kobiety i jej hojność dla świętej sprawy pełnią rolę wprowadzenia do narracji o męce, kiedy to Jezus przejawia te same cechy.

41-44. Tradycja późniejsza podaje, że na Dziedzińcu Kobiet stało trzynaście takich skarbon, dostępnych dla niewiast Izraela, a także dla mężczyzn. Świątynia chlubiła się swym przepychem, zaś ludzie, którzy w niej usługiwali, prawdopodobnie marnotrawili pieniądze wdów. Jednak ta bezbronna kobieta, nieświadoma takiej możliwości, działa w dobrej wierze i jest w Bożych oczach największym ofiarodawcą. Wdowa nie musiała głodować, zważywszy na opiekę udzielaną ubogim w żydowskich synagogach (por. komentarz do Dz 6,1-4). „Pieniążek” wdowy (lepton) to najlżejsza i najmniej wartościowa moneta z tego okresu.

42. ”dwa pieniążki, czyli jeden grosz”: Dwa miedziane pieniążki (lepta) były najmniejszymi monetami w obiegu. Człon zdania pełniący rolę wyjaśnienia, ho estin kodrantēs, opiera się na zapożyczeniu nawiązującym do łacińskiego słowa quadrans - co jest przykładem rzymskich

wpływów widocznych w Ewangelii Marka.

43. "Ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich": Pierwsze słowa komentarza Jezusa to sprzeczność, która później jest wyjaśniona (12,44). Jezus wskazuje, że wdowa poniosła prawdziwą ofiarę, by wesprzeć świątynię, natomiast bogaci ofiarowali jedynie część swych oszczędności.

<https://biblia.wiara.pl/doc/423297.XXXII-NIEDZIELA-ZWYKLA-ROK-B>

Na niedzielę, podczas której świętujemy 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, Kościół przedkłada nam Ewangelię o ubogiej wdowie wrzucającej pieniądze do świątynnej skarboxy. Spróbujmy ją zinterpretować w patriotycznym kluczu.

W świątyni jerozolimskiej, jeszcze przed skarbcem, w miejscu dostępnym dla wszystkich Izraelitów, na Dziazińcu Kobiet, stało trzynaście skarbox. Składano do nich ofiary pieniężne na utrzymanie świątyni. Zgodnie z umieszczonymi na nich napisami, pierwsze dwie skarboxy były przeznaczone na podatek świątynny, do skarbox od trzeciej do siódmej wrzucano równowartość odpowiednio za turkawki, gołębie, drewno, kadzidło oraz złote naczynia. W skarboxach od ósmej do dwunastej gromadzono pieniądze składane przy okazji ofiar za grzechy, przewinienia, oczyszczenie z trądu. Księgowośćią tych ofiar zajmowali się kapłani. To oni przeliczali pieniądze, głośno podawali intencje i wrzucali monety do skarboxy. Im więcej i głośniejsze, tym lepiej. Jeśli ktoś chciał się pokazać, to było to dobre ku temu miejsce. „Wielu bogatych wrzucało wiele” – jak zauważył św. Marek.

„Najwięcej” jest wtedy, gdy „ze swojego niedostatku” wrzuca się „wszystko”

W trzynastej skarboxie zbierano dobrowolne datki bez szczególnych intencji. To prawdopodobnie tu Jezus zauważył ubogą wdowę, która do skarboxy wrzuciła dwa leptony – drobne monety o łącznej wartości rzymskiego kwadransa, co tłumacze wyrażają słowem grosz. Ten z kolei stanowił 1/64 denara, który był dziennym wynagrodzeniem robotnika i rocznym podatkiem na rzecz cezara. Mówiąc krótko – rzuciła niewiele.

Nie będzie w tym chyba nadużycia, jeśli powiem, że to, co zrobiła wdowa, miało nie tylko sens religijny, ale także patriotyczny. Pieniądze, które trafiały do skarboxy, służyły utrzymaniu świątyni, posługujących w niej kapłanów, zakupowi tego, co konieczne było dla kultu. Izraelici dumni byli ze swej świątyni. Została niedawno odbudowana przez Heroda Wielkiego, była większa i wspanialsza od dwóch poprzednich. Pierwsza świątynia została zniszczona przez Babilończyków, a druga – zburzona i splądrowana przez Greków i Rzymian. Odbudowując świątynię, Herod kierował się nie tylko motywami religijnymi. Dominujący był raczej wymiar polityczny. Rozmach i styl ogromnej budowli miał być dla Rzymian wyraźnym symbolem znaczenia królestwa żydowskiego. To był sygnał dla okupanta.

Czy uboga wdowa miała świadomość politycznych kontekstów, jakie towarzyszyły budowie i utrzymaniu świątyni? Prawdopodobnie nie, ale przecież wszystkie religijne obowiązki Żyda były jednocześnie obowiązkami wynikającymi z przynależności do narodu i wykonywanymi na rzecz narodu, wszak Izrael – choć wówczas już bez własnej państwowości – był narodem

teokratycznym, gdzie prawdziwym królem był Najwyższy. Wyznawać judaizm i być Żydem stanowiło jedno.

Jezus interpretuje to, co zrobiła wdowa, porównując jej gest z zachowaniem tłumu, który wrzucał pieniądze do skarbony. Widzi, że wrzuciła bardzo mało, ale – wbrew matematyce – mówi, że wrzuciła „najwięcej ze wszystkich”. Choć wrzuciła mniej od innych, to jednocześnie wrzuciła od nich więcej. „Najwięcej” nie musi wcale znaczyć „wiele”, zwłaszcza wtedy, gdy jest dawane „z tego, co zbywa”. „Najwięcej” jest wtedy, gdy „ze swojego niedostatku” wrzuca się „wszystko”.

W kontekście dzisiejszego święta powiedziałbym, że istnieje coś takiego jak patriotyzm „wszystkiego”. Owo „wszystko”, które bywa ofiarowane – jak lubimy mówić – na ołtarzu ojczyzny, to najpierw jest życie. Ten patriotyzm jest nam dobrze znany. I jest powodem do polskiej dumy. W swoim przesłaniu do Polaków, wystosowanym na ręce abp. Stanisława Gądeckiego, papież Franciszek przypomina: „Odzyskanie suwerenności było okupione poświęceniem wielu synów Polski, którzy gotowi byli poświęcić swą wolność osobistą, swoje dobra, a nawet życie, na rzecz utraconej ojczyzny”. Czy można dać więcej niż życie? Przecież sam Jezus powiedział, że nikt nie ma większej miłości jak ten, kto oddaje życie za przyjaciół swoich. Aż chciałoby się powiedzieć, że niejednokrotnie polskie wdowy wrzucały do skarbony narodu życie swych mężów i synów. I jakżeż bardzo wydawało się to w czasach niewoli oczywiste. Pisał Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”:

Bitwa? Gdzie? W Której stronie? – pytają młodzieńce,
 Chwytają broń; kobiety wznoszą w niebo ręce;
 Wszyscy, pełni zwycięstwa, wołają ze łzami:
 „Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami”
 (Księga XI, w. 67-70).

Czy jednak „wszystko” musi oznaczać ofiarę z życia? Historia ubogiej wdowy spod trzynastej skarbony mówi nam, że „wszystko” nie musi zaraz odznaczać „bardzo wiele”. Że oprócz wielkości ofiary jest jeszcze wielkość intencji. Można dać mało, a jednak dać wszystko. Myślę, że to bardzo ważna zasada patriotyzmu w czasach, gdy nie trzeba już ofiary krwi. I już nie życie składa się na ołtarzu ojczyzny w akcie bohaterskiej śmierci. Znamy dobrze patriotyzm czasów wojny, ale czy znamy patriotyzm czasu pokoju? Czy go rozumiemy? Czy mamy na niego pomysł? Czym jest owo patriotyczne „wszystko” – którego jednak nie należy dawać z tego, co zbywa, ale ze swego utrzymania? Bo tylko taka ofiara ma sens w świetle Ewangelii. Można dać mało, a jednak dać wszystko. To bardzo ważna zasada patriotyzmu w czasach, gdy nie trzeba już ofiary krwi

Patronem dzisiejszego dnia jest św. Marcin. Ten syn rzymskiego legionisty otrzymał takie imię na cześć Marsa, boga wojny. Od urodzenia przeznaczony był do służby żołnierskiej. Wszyscy chyba znamy ten przełomowy moment w jego życiu, gdy zimą spotkał półnagiego żebraka i na jego widok oddał mu połowę swej żołnierskiej opończy. W nocy zobaczył we śnie Chrystusa odzianego w jego płaszcz, który mówił do aniołów: „Patrzcie, jak mnie Marcin przyodziął”. Marcin był już wtedy katechumenem, kandydatem do chrztu. Kiedy przyszło mu walczyć z

pogańskimi plemionami germańskimi w Galii pod wodzą cesarza Juliana Apostaty, w imię wyznawanej wiary chciał odmówić walki. Cesarzowi, który zarzucił mu tchórzostwo, odparł: „Jeśli przypisujesz to mojemu tchórzostwu, a nie wierze, to jutro stanę przed wojskiem zupełnie bez broni i w imię Chrystusa przedrę się nietknięty przez szyki nieprzyjacielskie, okrywając się tylko znakiem krzyża, a nie tarczą i szyszakiem!”. I tak się stało. Marcin wyruszył uzbrojony jedynie w krzyż. Nazajutrz Germanie poprosili o pokój.

Postać św. Marcina, późniejszego biskupa Tours – dzisiaj już nieco zapomniana – miała wielkie znaczenie dla Kościoła w średniowieczu. Widziano w nim nowy model żołnierza, który walczy już nie mieczem, ale cnotą. Nie dąży do rozlewu krwi, ale skupia się na wewnętrznej walce duchowej i miłości bliźniego. Nie wiem, czy Marcin oddał „wszystko”, ale dzieląc swój płaszcz na pół i oddając go żebrakowi, na pewno dał nie z tego, co mu zbywało, lecz z tego, co stanowiło jego żołnierski ekwipunek. Zapewne płaszcz służył mu niejednokrotnie za ochronę przed chłodem.

Nie, ja nie wzywam do żadnego naiwnego pacyfizmu, bo wiem, że czas, kiedy „miecze przekują na lemieszce, a włócznie na sierpy” (Iz 2,4), czołgi na kombajny, a z armat robią śnieżne armatki, nigdy w doczesności nie nastanie. Myślę jedynie o tym, by za walkę o ojczyznę i za narodowe bohaterstwo uznać także zaangażowanie tych, którzy dają swoje patriotyczne „wszystko” niekoniecznie do najgłośniejszej skarboxy. Polskę budują nie tylko ci, którzy trzymali i trzymają miecz w ręku, ale także ci, którzy dzielą swój płaszcz z ubogim. A takich cichych, niezauważalnych patriotów codzienności, którzy nie mają swoich kapłanów ogłaszających wielkość ich ofiary, jest wśród nas bardzo wielu. I to jest także ich święto, nie tylko tych, co oddali życie w ofierze krwi. Jest także ofiara codzienności, wielka w intencji, choć może niezauważalna w darze.

Ewa Lipska pisała w wierszu „Jest taki kraj”, który:

Podczas apelu śniadania
chleb kroi szablą na krzyż
podśpiewując a cappella
rozkwitały pęki białych róż.

Tak, wciąż podśpiewujemy „pęki białych róż”. Nie daj, Boże, a znów się ta melodia przyda, więc pewno chcemy być gotowi, by zaśpiewać, gdy będzie trzeba. Wciąż pieśni patriotyczne to przede wszystkim pieśni wojenne. Ale gdzie te nie-wojenne pieśni patriotyczne? Jak je ułożyć, by nie zabrzmiały jak te socrealistyczne o budowaniu nowego domu? Jak je zaśpiewać, by nie zabrzmiały jak propaganda?

I co z tym krojeniem chleba szablą na krzyż? Przyznać muszę, że na początku przeszkadzał mi ten obraz. Było w nim coś obrazoburczego. Ale pomyślałem, że to przecież może być gest Marcinowy. A wtedy może i nam przyśni się Chrystus, który powie: patrzcie, jak mnie Polak nakarmił. I miast wystąpić do wojennego apelu, zasiądziemy razem do śniadania.

<https://wiesz.pl/2018/11/10/trzynasta-skarbona-kazanie-dla-niepodleglej/>

Jest wiele dróg ufności Bogu, bo każdy z nas jest inny, nazwany przez Boga jego własnym imieniem. Każdy z nas musi więc odkryć swoją drogę ufności. Będzie to droga tylko dla niego. Droga uwzględniająca to, kim był, kim jest, kim chce być i w jakich warunkach żyje.

Wiara w moc i potęgę Boga

Jedna z sentencji Ojców Pustyni mówi: "Powiedział abba Euprepiusz: «W przekonaniu, że Bóg jest wierny i potężny, ufaj Mu, a będziesz miał udział w Jego skarbach. Gdybyś się zniechęcił, to znaczy to, że nie wierzysz. Wszyscy zresztą wierzymy, że jest potężny i wszystko może; ale zastosuj tę wiarę także i do swoich spraw, żeby On i w tobie dokonał cudów»".

Droga zaufania polega więc na zastosowaniu ogólnej wiary w moc i potęgę Boga do swoich konkretnych spraw życiowych. Bez względu na to, czy ktoś jest osobą żyjącą w małżeństwie czy samotnie, czy jest duchownym czy świeckim, boryka się z podstawowymi pytaniami dotyczącymi ufności: Czy Bóg nie zniechęci się moimi zdradami, niewiernościami, słabościami i grzechami? Czy miłości i łaski Boga nie przyjmuję na marne, tracąc je i nie korzystając z nich?

Tego typu pytania powracają szczególnie po kolejnych upadkach i grzechach, zwłaszcza tych, z którymi już wielokrotnie obiecywaliśmy zerwać. Owe solenne obietnice składaliśmy Bogu, samym sobie i bliskim. Najczęściej nie chodzi tu o jakieś spektakularne i gorszące grzechy czy czyny, a raczej o najgłębsze pokłady naszego egoizmu, bywa, że do końca nieświadomione. Przerazenie własną słabością czy fiasko ambitnych planów przemiany życiowej wystawiają na próbę naszą ufność, która praktycznie wyraża się w stałej i żarliwej modlitwie do Boga.

Umysł lekceważący dobro jest pociągany ku złu

Pożywieniem dla coraz głębszych korzeni egoizmu jest sam grzech. Grzech jako taki - czyli chybienie. Zawrócenie ze ścieżki prowadzącej do życia i światła, dążenie w kierunku ciemności i śmierci. Często zły kierunek to w życiowej praktyce brak ofiarności, wygodna, komfort, bez troska, brak miłosierdzia i współczucia, automatyczny osąd innych, smutek z czyichś sukcesów i osiągnięć.

W spojrzeniu na genezę grzechu chciałbym zwrócić uwagę na myśli Orygenes, jednego z największych teologów chrześcijaństwa żyjącego na przełomie II i III wieku. Dla tego wielkiego myśliciela, trochę w przeciwieństwie do naszych odczuć, grzech to nie tyle czyn, ile zaniedbanie. Według niego istotą grzechu jest zaniedbanie, lenistwo, opieszałość. To właśnie one doprowadzają do grzechów najpierw w postawach wewnętrznych i myślach, później w mowie i czynach.

W swoim dziele O zasadach Orygenes pisze: "Stwórca bowiem zezwolił stworzonym przez siebie umysłom na dobrowolne i swobodne działanie, aby powstało w nich ich własne dobro, gdyby zachowywały je z własnej woli; jednakże lenistwo i wstręt do wysiłku w zachowaniu dobra oraz niechęć i lekceważenie wyższych wartości dały początek odchodzeniu od tego, co dobre. Odchodzenie od dobra nie jest bowiem niczym innym jak formowaniem się w złu. Z całą przecież pewnością złem jest brak dobra. Ktoś popada w zło w takiej mierze, w jakiej odszedł od dobra. Każdy zaś umysł lekceważący dobro jest pociągany ku złu. Wolna wola na skutek niedbałości może doprowadzić do upadku".

Grzech więc jest brakiem dążenia ku Bogu z lenistwa, gnuśności i wstrętu do wysiłku. To przede wszystkim zaniedbanie dążenia ku Bogu wyrażające się w myśli, mowie i uczynku. Wszelki pozytywny wysiłek rozwija nas i wzbogaca, zaś jego brak niszczy duszę i ciało. Bycie w drodze, opuszczenie strefy komfortu i wygody, gdzie czują się przyjemnie i bezpiecznie, pomaga. Wysiłek, ciężki trud pracy nad sobą, pomaganie innym to przyjęcie Bożej łaski. Duchowa czy fizyczna wędrówka, poszukiwanie prawdy, piękna - stają się właściwie wędrówką ku Bogu. Konsekwentna realizacja dobrych pragnień i marzeń przybliża nas do Boga i bliźnich.

Bezruch, bezwład i wygodne zamknięcie we własnym świecie jest dla nas poważnym zagrożeniem. Obojętność, wyrachowanie oraz niechęć do wszelkich zmian niszczą nas wewnątrz. Uporczywe stanie w miejscu, zrywanie kontaktów, egocentryczne zamknięcie są jakby przedsionkiem piekła tu, na ziemi. Ucieczka przed trudem, ofiarą i wyrzeczeniem się to duże opóźnienie naszego marszu ku Bogu. Czynią nas one niezdolnymi do przyjęcia Bożego słowa. Grzech to sen, beczynność, brak życia - śmierć. Dobro to Bóg - Życie, to pozytywny wysiłek. Zło jest przeciwne istnieniu, zawiera w sobie rozpad, destrukcję, zepsucie i nicość.

Walka o codzienne zaufanie w rodzinie

Piszę i cytuję te bliskie dla mnie obiektywne prawdy, gdyż sam w moim życiu zmagam się z walką o codzienną ufność. Gdy odkrywam, że wiele zła w moim życiu i w życiu moich bliskich powstało właśnie przez korzeń mego grzechu - zaniedbanie, lenistwo, lekceważenie, gnuśność, ucieczkę od trudu i ofiary - trudno mi przyjąć tę bolesną prawdę. Przyjęcie odpowiedzialności za zło, które wydarzyło się z mojej przyczyny, uderza w samozadowolenie. Lata płyną, człowiek się starzeje, a zamiast wewnętrznej przemiany odkrywam coraz większe pokłady egoizmu i egocentryzmu. Pozytywnych zaś zmian jak na lekarstwo. Ciężko to przyjąć i zaakceptować, ponieważ burzy to mój obraz samego siebie, odziera go z wielu naiwnych wyobrażeń. Niszczy dobre mniemanie o sobie.

Ślepe, nieraz bezuczuciowe zaufanie Bożej Miłości i Mądrości budzi mimo wszystko pokój. Przeświadczenie, że Bóg w swojej wszechmocy poradzi sobie z moją grzesznością i egoizmem, leczy i wywala. Pozwala przyjąć inną perspektywę i skierować wzrok bardziej na Oblicze Boga niż na siebie. Oczywiście nie zwalnia mnie to z codziennego wysiłku i trudu nawrócenia. Nie czyni jednak z tych wysiłków centrum.

Zaufanie Bogu, gdy żyje się w rodzinie, ma zapewne nowy wymiar. Już samo małżeństwo daje okazję do głębokiej przemiany, rozwoju ludzkiej osobowości i nowego spojrzenia na rzeczywistość. Dobrze i dojrzałe przeżywane życie małżeńskie i rodzinne to jakby ładunek wybuchowy o dużej sile rażenia podłożony pod fortecę egoizmu i indywidualizmu. Jeśli będzie się codziennie przyjmować Bożą łaskę, ufność Bogu członków rodziny nie zagaśnie - materiał wybuchowy eksploduje, a jego moc spowoduje spustoszenie w twierdzy egoizmu. By tak się stało, życie rodzinne zakłada "chodzenie w obecności Boga". Największą mądrością w życiu małżeńskim i rodzinnym jest spojrzenie na bliskich oczyma samego Boga. Takie spojrzenie sprawia, że dajemy pełną wolność ukochanemu współmałżonkowi, a dzieci wychowujemy do wolności i miłości.

W codziennej praktyce życia w rodzinie do problemów zaufania w obliczu własnej grzeszności i słabości dochodzą pokusy związane z osądem i obrazem w nas naszych bliskich. Przez wiele lat wspólnego życia nietrudno pielęgnować myśl o ograniczoności i słabości bliskich. Moją pokusą jest myślenie typu: przecież w tej kwestii on - ona na pewno się nie zmieni. Przecież tyle było prób zupełnie bezskutecznych. Bardziej subtelne pokusy udowadniają mi, że on - ona nie tylko nie ma wystarczającej siły do przemiany, ale w ogóle nie ma świadomości własnych słabości czy wad i potrzeby jakichkolwiek zmian.

W takim wypadku spojrzenie oczyma Boga z pewnością się nie uda, gdyż jest ono odwrotnością opisanych pokus. Bóg zawsze daje szansę, zawsze widzi w nas dobro, które stworzył, zawsze ufa człowiekowi i nigdy nie miażdży go bezwzględny sąd. Ufność w rodzinie to zaufanie w dobro Boże, które jest w bliskich. To zaufanie, że podobnie jak Boża miłość i cierpliwość poradzi sobie z nami samymi, tak samo poradzi sobie z naszymi bliskimi, mimo ich uporu, słabości, grzeszności czy niestałości.

Lekarstwem na znudzenie czy spowszednienie w życiu małżeńskim jest świąteczna radość pierwszego dnia wspólnego życia, która może trwać mimo upływu czasu przez całe życie. Każdy dzień może być świętem. Każdego dnia mąż i żona mogą się wzajemnie odkrywać, poznawać jako nowe osoby. Pomocą w trwaniu w tym doświadczeniu jest pogłębianie życia duchowego i ustawiczna praca nad wewnętrzną przemianą.

Innym, wcale nie mniejszym, polem walki o zaufanie Bogu są sprawy dotyczące finansów czy zdrowia. Tutaj bardzo konkretnie można doświadczyć łaski Boga. Konkrety i fakty w sposób szczególnie związane są z ufnością, wytrwałością i żarliwością modlitwy.

<https://www.zycie-duchowe.pl/art-255.drogi-zaufania-bogu.htm>

Wszyscy wiemy, że trzeba Bogu zaufać. Ale jak to rozumieć i jak zastosować w swym życiu?
Zaufanie do Boga

Trwa nasza miłość w czasach zarazy, a patrząc na Jezusa, staramy się uczyć, w jaki sposób chrześcijanin ma przeżywać swoje życie.

Jednym z podstawowych wymiarów chrześcijańskiej egzystencji jest zaufanie do Pana Boga. Myślę, że każdy z nas ma z tym mniejszy lub większy problem, bądź od strony formalnej, bo nie do końca wiemy, co to znaczy: zaufać Mu. Bądź od strony praktycznej – nie wiemy, w jaki sposób mamy praktykować na co dzień to zaufanie. Myślę, że warto przyjąć w swoim życiu zasadę, że jeśli czegoś nie wiemy z dziedziny wiary, to odpowiedzi szukamy najpierw w Katechizmie Kościoła katolickiego. I oczywiście w Ewangelii czy Piśmie Świętym ogólnie, ale w niej zwłaszcza. Kościół podaje nam prawdy do wierzenia, które przechowuje od dwóch tysięcy lat, naukę apostołską, natomiast Ewangelia uczy nas, w jaki sposób mamy naśladować Pana, bo dowiadujemy się, jak On żył, w jaki sposób podchodził do życia, kiedy był na ziemi. Nie rozumiemy

Chciałem dzisiaj zwrócić waszą uwagę na antyfonę na komunię. Spotkaliśmy się już z tym tekstem w oktawie Wielkiej Nocy, kiedy czytaliśmy opisy chrystofanii:

Trzeba było, aby Chrystus cierpiał i zmartwychwstał, i tak wszedł do swojej chwały. Alleluja! (por. Łk 24,26).

W tym fragmencie może nas przerażać i zastanawiać na pierwszy rzut oka zwrot „trzeba było”. Wszystko w nas się buntuje – jak to, było konieczne, żeby Jezus cierpiał?

Pamiętajmy jednak, że te słowa Pan Jezus wypowiada już po swoim zmartwychwstaniu, z jego perspektywy, a nawet więcej: z perspektywy po zesłaniu Ducha Świętego i po wniebowstąpieniu.

Te słowa mówią o tym, o czym czytamy w Apokalipsie. Czasami są to sprawy dla nas po ludzku bardzo trudne, czasami przywodzą nas na skraj rozpacz, sprawy, których nie rozumiemy.

Dokładnie tak samo jak nie rozumiał całej tamtej sytuacji Jan Apostoł, kiedy stał pod krzyżem, jak nie rozumiał Piotr na dziedzińcu arcykapłana. To są nasi przodkowie w pielgrzymce wiary, poprzednicy. Wierzący jak my, a zatem ze swoimi ułomnościami i zaletami.

Czym jest zaufanie

Potem, kiedy Misterium Paschalne się skończyło, z perspektywy zmartwychwstania rzeczywiście dało się dostrzec, że trzeba było, by cierpiał, bo to nic Bożym planom nie zaszkodziło. A raczej wręcz przeciwnie – dzięki różnym przeciwnościom te plany objawiły się w jeszcze większej pełni.

Zaufanie Bogu zatem nie polega na braku stresu, tylko polega na wewnętrznym przekonaniu, że cokolwiek się dzieje, Bóg ma to w swoich planach. My robimy to, co możemy, na ile potrafimy. Na tyle działamy, natomiast rzeka historii płynie, ale Bóg ma nad nią absolutną kontrolę.

Zaufanie Panu Bogu polega też na tym, że w trudnych chwilach mówimy: „Panie Boże, teraz nic nie rozumiem, zupełnie się gubię w tym, co się dzieje. Ale wiem, że Ty jesteś Panem historii i mojego życia, dlatego w ostatecznym rozrachunku wiem, że wszystkim nam to wyjdzie na dobre.

Nie wiem jak, pewnie sam poprowadziłbym swoje życie inaczej. Ale wiem, że jesteś Bogiem i dbasz o swoje dzieci, biorąc zawsze pod uwagę rozrachunek życia wiecznego, i ostatecznie tylko to się liczy”.

Wszystko ma służyć naszemu zbawieniu

To pomaga nam wysnuć trzeci wniosek, mianowicie, że zaufanie do Pana Boga nie opiera się tylko na tym, co Pan Bóg może nam dać bądź załatwić w życiu doczesnym. Ufność ta dotyczy całego naszego życia, czyli przede wszystkim tego wiecznego. Tego, co się z nami stanie, kiedy zakończymy pielgrzymowanie na ziemi.

Tu jesteśmy tylko w poczekalni. Szykujemy się wszyscy – my, nasi bliscy – na wejście do nieba. Jak mówi św. Benedykt, śpieszmy się i to tylko czynmy, co nam przyniesie korzyść na wieczność.

Medytujmy nad tą antyfoną, próbujmy się mierzyć z tym, co dla nas trudne. Spróbujmy powierzyć to w Boże ręce, nawet jeśli nas to bardzo dużo kosztuje, skupmy się na tym, że wszystko ma służyć naszemu zbawieniu.

I pomyślmy, że Bóg tak nas umiłował, że Syna swego jedyne go wydał za nas. Skoro więc miało miejsce tak wielkie poświęcenie z Bożej strony, to możemy być pewni, że wszystko, co nas spotyka, jest w Jego plany wliczone i ostatecznie ma służyć naszemu wejściu do raj.

Fragm. książki „Dziennik z czasu zarazy”. Źródło: pl.aleteia.org

Trzy kroki ku homilii, ks. Marek Gilski

Poszła więc i zrobiła, jak Eliasza powiedział, a potem zjadł on i ona oraz jej syn, i tak było co dzień. Dżban mąki nie wyczerpał się i baryłka oliwy nie opróżniła się, zgodnie z obietnicą, którą Pan wypowiedział przez Eliasza (1 Krl 17, 15-16).

1. Komentarz naukowy

W 1. Księdze Królewskiej w rozdziale 17. spotykamy się z opowiadaniem mówiącym o Eliaszu, którego przyjęła pod swój dach wdowa z Sarepty Sydońskiej. Sarepta, miasto fenickie, pozostawało wówczas pod władzą króla Sydonu. Na tamtych terenach czczono inne bóstwa niż Bóg Jahwe, któremu służył Eliasz i o przywrócenie kultu, którego się starał. Mimo że przybysz reprezentował inny lud i odmienne wierzenia, kobieta przyjęła proroka pod swój dach w czasie trwającej suszy.

W 1 Krl 17, 9 Bóg przekazuje Eliaszowi wiadomość o tym, że rozkazał pewnej wdowie, aby go żywiła. Jest ona tam określona słowem *almānāh*. W obrębie tekstów pozabiblijnych jest to termin nie tylko podkreślający fakt śmierci męża kobiety, ale jak zwracają uwagę różni autorzy, także jej sytuację społeczną, której zasadniczym elementem jest brak finansowego wsparcia, bądź prawnej opieki i zależności od męskich członków rodziny, czyli np. ojca, teścia, czy dorosłych synów. Z faktu braku prawnej i materialnej opieki wynikała słabość pozycji społecznej, która rodziła duże pole do nadużyć. To dlatego wczesne kodeksy prawne, a także prawo Mojżeszowe zawierało pewne szczególne regulacje mające służyć ich ochronie. O ile określenie wdowy terminem *almānāh* nie budzi zbyt wielu kontrowersji, o tyle określenie jej w w. 17 mianem *ba'ālat habāit* rodzi więcej pytań. *Ba'ālāh* w rodzaju żeńskim oznacza „panią”, „właścicielkę”. Drugi człon oznacza „dom”. Odpowiednio więc można użyte określenie przetłumaczyć jako „panią domu”. Wskazówką, która odsłania kolejny element składający się na sytuację tej kobiety przed zaplanowaną przez Boga ingerencją proroka w jej życie, jest czynność jakiej dokonuje – zbiera drewno, aby przyrządzić posiłek – nie ma więc nikogo, kto by jej w tym pomógł, a środków do przetrwania szuka na ulicy – i pełne dramatyzmu słowa, które wypowiada do Eliasza, określające zaplanowany posiłek jako ostatni, po którym spodziewa się umrzeć. W sytuacji suszy, nie mając zabezpieczenia oraz majątku, ona oraz jej syn zdani są na śmierć. Sytuacja bohaterki jest więc następująca: jej mąż zmarł, nie posiada żadnego prawnego ani faktycznego opiekuna. Ponadto sama troszczy się o swojego syna, robiąc co może, aby go nakarmić. Należy więc do jednej z grup osób uznanych za najbardziej potrzebujące i wymagających opieki wraz z sierotami i cudzoziemcami.

W jaki sposób Bóg posługuje się wdową i jaki cel, skutek oraz charakter ma Jego działanie? Zadaniem wdowy, które ma ona wypełnić zgodnie z Bożym zamiarem, jest podtrzymanie Eliasza w trudnej dla niego sytuacji. Sam doświadcza skutków suszy, którą zapowiedział, choć jako Boży posłaniec doświadcza też specjalnej troski Boga. Misja wdowy jest więc zależna i służebna w stosunku do misji proroka. Wdowa ma go wesprzeć, podczas gdy sama znajduje się w dramatycznym położeniu. O ile nie dziwi fakt, że Bóg rozkazał krukowi, aby żywił Eliasza, o tyle mamy prawo zastanawiać się, w jaki sposób nakaz Boży zrealizował się w działaniu wdowy, nie tylko będącej jako człowiek obdarzoną wolną wolą i rozumem, ale na dodatek obcą, pochodzącą z innego kraju, i zapewne czczącą innych bogów osobą. Wdowa początkowo wzdryga się przed wypełnieniem woli proroka, a więc w jakimś sensie nie chce spełniać roli, przewidzianej jej przez Boga. Na tym etapie nie widzi jeszcze takiej możliwości. Jak ma się podzielić, skoro sama czuje się skazana na śmierć? Odpowiedzią proroka jest zachęta, aby się nie bała (w. 13). Słowa te przywodzą na myśl teofanię, są także odpowiedzią na przekonanie wdowy o tym, że niebawem umrze z głodu. Następuje po nich ponowienie prośby z podaniem kolejności: najpierw ma zrobić jedzenie prorokowi, potem sobie i dziecku (w. 13-14). Nie jest to jednak egoizm. Wraz z prośbą następuje obietnica zapewnienia tego, co konieczne do życia. I tu dokonuje się rzecz zasadnicza: wdowa uwierzyła słowu proroka i wypełniła jego prośbę. W obcym kraju wiara Fenickiej kobiety w słowo Jahwe staje się przyczyną jej ocalenia, podczas gdy w Izraelu to od Baala bezskutecznie oczekiwano deszczu i plonów. Działanie wdowy zgodne ze słowami proroka powoduje, że zapowiedź Boża się spełnia.

Eliasz objawia wdowie Boże orędzie i zamiar. Wdowa musiała jedynie dostrzec w proroku Bożego posłańca, uwierzyć mu i wypełnić jego wolę. Być może Boży nakaz w stosunku do wdowy można zinterpretować jako Boży zamysł i Bożą łaskę, którą Ten uzdalnia kobietę do wypełnienia powierzonej jej misji. Ten, który w Księdze Wyjścia ma moc uczynić twardym serce faraona, może też uzdolnić serce wdowy do zaufania słowu proroka i podjęcia się przewidzianego dla niej zadania. Ujawnia się tu działanie Boga jako tego, który aktywnie angażuje się w historię zapewniając poszczególnym jej bohaterom możliwość wypełnienia ich misji – Eliaszowi przez postawienie na jego drodze wdowy i jej pomoc, jej zaś przez cud rozmnożenia pokarmu, dzięki któremu mogła utrzymać proroka i swoją rodzinę (S. Sadowski, *Wdowa z Sarepty Sydońskiej jako narzędzie w ręku Boga* (1 Krl 17, 8-24), *Communio* 35(2015), nr 3-4, s. 7-23; K. Frąckowska, *Gościć proroka to przyjąć słowo Boga. Eliasz u wdowy z Sarepty Sydońskiej* (1 Krl 17, 8-24), *Biblica et Patristica Thoruniensia* 9(2016), [nr] 2, s. 12).

2. Mistrzowie teologii i życia duchowego

„Wiara w zmartwychwstałego Chrystusa nie różni się od wiary Abrahama: jest obietnicą przyszłości, obietnicą ojczyzny, drogą ku niej. Różnica polega na tym, że przyszłość ta pojęta tu jest bardziej radykalnie. Przekracza granicę śmierci, która jest antytezą ludzkiego odniesienia do przyszłości. Człowiek jest tak stworzony, że nie może żyć bez przyszłości. W okresie międzywojennym w Stanach Zjednoczonych nadano w radiu słuchowisko, które było tak

realistyczne, że wielu ludzi myślało, iż rzeczywiście zbliża się koniec; odnotowano wówczas wiele samobójstw. Jak to trafnie wyraził Emmanuel Mounier, ludzie odbierali sobie życie, aby nie musieć umrzeć. To pozornie paradoksalne stwierdzenie dobrze pokazuje, jaka jest właściwa konstytucja człowieka: bez przyszłości również teraźniejszość staje się dla niego nieznośna – dlatego też zazwyczaj nie mamy odwagi powiedzieć komuś nieuleczalnie choremu o stanie jego zdrowia” (J. Ratzinger, *Przyszłość wiary. Refleksje teologiczne*, Kraków 2019, s. 5–56).

3. Z życia wzięte

„Zawsze podczas spotkań przychodzi czas na dyskusję, którą nazwano «porównaniem doświadczeń». Pewnego wieczoru z niejakim zakłopotaniem posunięta w latach kobieta skromnie ją zaczęła:

– Codziennie chodzę do prawie ślepej osoby, która mieszka sama, i czytam jej gazetę albo książkę. Uważam...

Przerywa jej gwałtownie blady młodzieniec ze szpiczastą bródką:

– Uważam, że pani najpierw powinna nauczyć się poprawnie wyrażać. Proszę odnowić swój język. Wszyscy wiedzą, że nie mówi się już „ślepy”, lecz „niewidomy”. Jest to kwestia, pomijając wszystko inne, dobrego wychowania. Należy szanować osoby fizycznie albo w inny sposób niepełnosprawne...

Nie wiadomo, jak długo by ciągnął tę swoją mowę oskarżycielską, popisując się przy okazji znajomością zasad współżycia społecznego, gdybym nie przerwał tego wygłaszanego z katedry kazania słów i pięknych sformułowań, które mogłyby zrobić wrażenie na ludziach niewykształconych. Znałem tę kobietę i wiedziałem, ile poświęcenia kosztuje ją to miłosierne zobowiązanie.

Zapytałem bladego intelektualistę z arogancką bródką:

– Musi pan wiedzieć, że kobieta, którą pan poniża, służy w ten sposób od paru lat, poświęcając swój czas wolny, a także i... zajęty. Proszę spróbować ją zrozumieć: jest tak zajęta działaniem, że nie ma czasu uaktualniać swojego słownictwa. A przy okazji: czy pan, taki wrażliwy na punkcie poprawności językowej, chociaż czasami podszedł do ślepego, o przepraszam, niewidomego?

Na moją interwencję odpowiedział:

– To inna sprawa...

Być może to była inna sprawa. Ale w gruncie rzeczy to jedyna sprawa, która interesuje „osoby fizycznie albo w inny sposób niepełnosprawne”, chociaż irytuje ograniczonych pseudointelektualistów. Problem pozostaje otwarty: bardziej liczą się właściwe słowa czy odpowiednie fakty, nawet jeśli mówimy o nich przestarzałym językiem? Czy chory lub znajdujący się w trudnej sytuacji człowiek czuje się obrażony, ponieważ nazywa się go w niewłaściwy sposób, czy dlatego że nie poświęca mu się uwagi, nie pomaga mu się w konkretny sposób albo nie przebywa z nim?” (A. Pronzato, *W poszukiwaniu zaginionych cnót*, cz. 1, Kraków 2006, s. 191–192). Źródło tekstu: ekspreshomiletyczny.pl